

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 53.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, $\frac{17}{29}$ września 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartalnie rsr. 3. — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II.

TREŚĆ NUMERU.

Franciszek Weżyk (z dwoma drzeworytami). — Kronika tygodniowa. — Nagrobek Zofii z książąt Czartoryskich Zamojskiej we Florencyi (z drzeworytem). — Kopicuszek. — Perseusz Kanowy. — Wiosenna rozmowa, poezya. — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego (z dwoma drzeworytami). — Zadanie wieżowe do nagrody. — Rebus.

Franciszek Weżyk.

Urodził się w r. 1785 we wsi *Witalinie*, na starém naszym Podlasiu, z ojca Kaźmirza, podówczas posła na sejm warszawski z województwa sandomierskiego, i z matki Maryanny z Bogusławskich. Nauki początkowe odbył w poblizkiej gniazda rodzinnego Biały Radziwiłłowski, następnie w Łubowie u ks. pijarów, skończył je zaś w Warszawie. Wyższe nauki pobierał w uniwersytecie krakowskim.

Wraz z utworzeniem księstwa warszawskiego, urządzeniem nowego sądownictwa i wprowadzeniem kodeksu Napoleona, wszedł w służbę cywilną r. 1807 jako assessor sądu apellacyjnego i sędziego trybunału 1ej instancji. W r. 1810 obrany posłem na sejm drugi księstwa warszawskiego z powiatu bialskiego, do roku 1814 był członkiem izby sejmowej i radcą konfederacyi zawiązaney w r. 1812. Dostąpiwszy godności kasztelana, przeniósł się do b. rzeczypospolitej krakowskiej, gdzie w starożytnym grodzie Jagiellonów stale zamieszkuje. Wybrany prezesem towarzystwa naukowego krakowskiego, po oddzieleniu takowego od zjednoczenia z uniwersytem jagiellońskim, powziął myśl piękną i użyteczną wzniesienia w odwiecznym grodzie Krakusa domu oddzielnego dla tej instytucyi, w którymby miała wygodne pomieszczenie tak na swe posiedzenia, jak dla biblioteki, zbiorów starożytności i naukowych. Tą myślą stale zajęty, a doprowadzenie zamiaru do pożądanego celu uważając jako ostatni kres zawodu obywatelskiego, z którego przez ciąg żywota swego sędziwy kasztelan tak pięknie umiał się wywiązywać dla kraju, wydał odezwę o składki na wzniesienie budowli, odpowiedniej potrzebom towarzystwa naukowego. Z pomiędzy pierwszych pospieszył ze szlachetną ofiarą Antoni Zygmunt Helcel, znany zaszczytnie w literaturze naszej z tylu prac naukowych. Za tym przykładem poszło wielu innych, a pomiędzy tymi i poczciwi wiesniacy ze Szląska.

Nie żałował zacny kasztelan pracy, trudów i za-

biegów, ażeby myśl swą urzeczywistnić, niechętnych głosy przytłumił i wznosił piękną i okazałą budowę, którą podajemy w drzeworycie. (ob. str. 496). (*)

Spełniwszy swe zadanie, naciśnięty wiekiem, bo w 75 roku życia, złożył na początku bieżącego roku godność prezesa towarzystwa naukowego, którą objął po nim Józef Majer, b. rektor uniwersytetu jagiellońskiego i prezes tegoż towarzystwa.

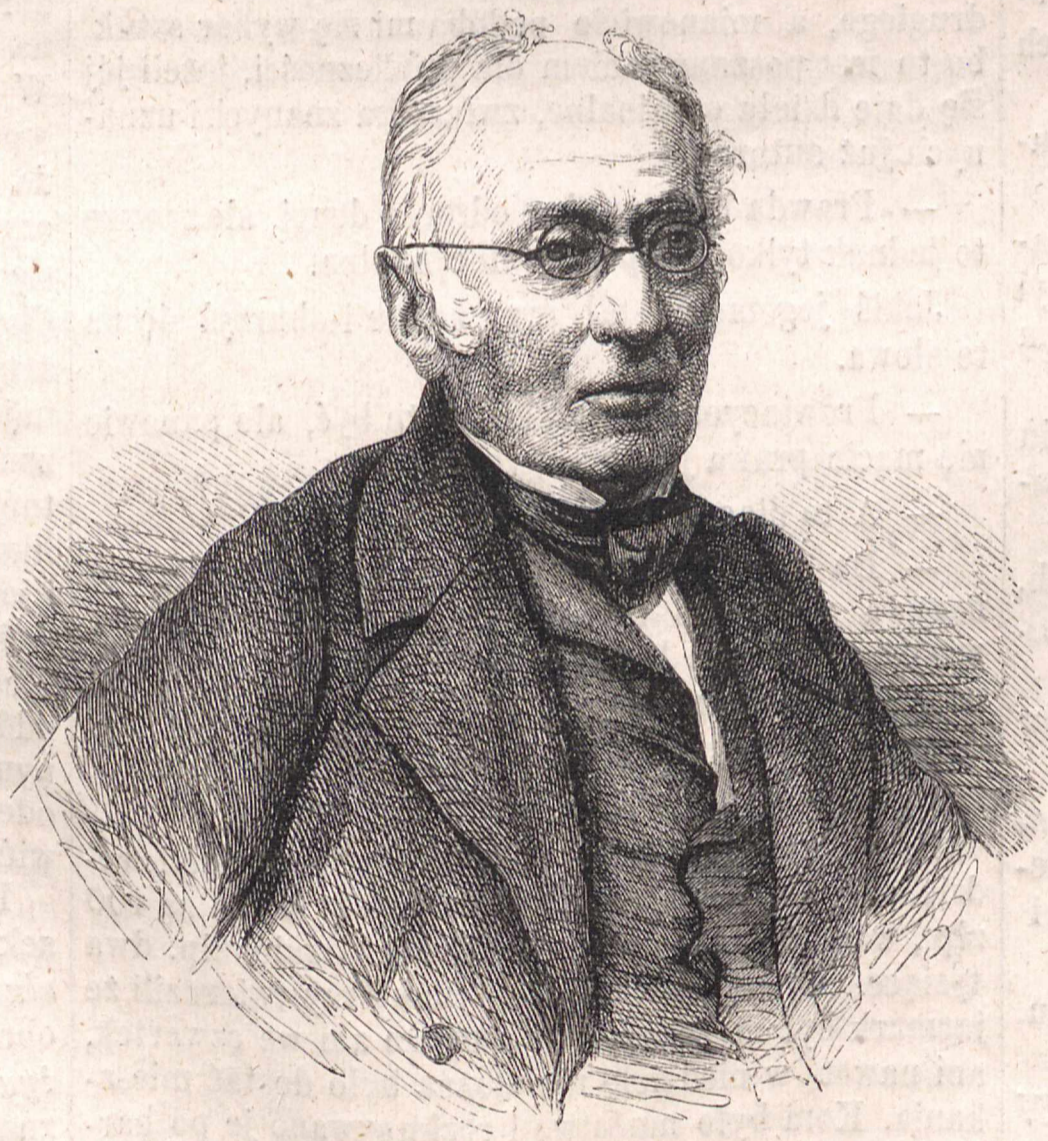
Kasztelan Weżyk rozpoczął zawód swój literacki w czasach księstwa warszawskiego, w roku 1809, ogłoszeniem części poematu: *Okolice Krakowa*, głównie jednak poświęcając się literaturze dramatycznej. W r. 1810 jego tragedia *Gliński* zjednała mu

uprzedził go, bo dał na przedstawienie teatru narodowego w Warszawie tragedya w pięciu aktach wiérsem, téjże treści i tytułu. Z niesłychanym zapalem utwór ten został przyjęty przez ówczesną publiczność, która serdecznie sympatyzowała z autorem w myśli i uczuciach. Mniej téż wymagającą była wtedy. Wychowaniem wdrożona do przyjętego w ogóle literackiego kodeksu, każdy utwór, szanujący ściśle jego artykuły, przyjmowała jako odpowiedni swój myśli, pojęciom swoim. *Klasyczność* (przez co rozumiano wtedy trzymanie się form uświęconych w literaturze podług dawnych wzorów) panowała wszechwładnie; ztąd tragedye na wzór francuzkich, ody, satyry, dytyramby, bajki, elegie i t. p. stanowiły cały świat duchowy poetyczny. Dramat sam, jakkolwiek wzięty z dziejów narodowych, naginano w formach, w zachowaniu jedności czasu i miejsca, do wzorów które brano wyłącznie z literatury francuzkiej.

Pomimo wszelako tego naśladownictwa, była przeważna struna, która uderzona silniej, tonem swoim poruszała do głębi serca słuchaczy. Tą struną był sam przedmiot, brany z przeszłości dziejowej, i postacie głośne zasługą i poświęceniem odżywiane na scenie. Jakkolwiek charakterzy ich, bez należytych studyów historycznych, nie odznaczały się wybitnie właściwością epoki, publiczność jednak każdą myśl piękną przyjmowała z zapalem i nie szczędziła hucznych oklasków. Jeżeli kiedy, to w chwilach wystąpienia kasztelana Weżyka na polu dramatycznym, scena z publicznością były spojone ściśłem ogniwem pojęć i wymagań sztuki.

Autor dobrze pojmował zadanie swoje. „Gdyby mnie kto zapytał (pisze w rozprawie III o poezyi dramatycznej) jakie przedmioty powinny zajmować pióra dramatycznych pisarzy? rzekłbym śmiało: przed wszystkimi narodowe. Dlaczegoż teatr grecki przyłożył się w tak znakomitym stopniu do nieśmiertelnój tego narodu sławy? Dlaczegoż stał się wzorem innych narodów i wieków? Oto dla tej ważnej i niewątpliwój przyczyny, że greccy pisarze osnowy do nieporównanych dzieł swoich z dziejów narodowych czerpali.“

To zadanie sztuki dramatycznej i sceny polskiej, rozumiała należycie społeczność księstwa warszawskiego, a następnie i królestwa w pierwszych dziesięciu latach, dopóki Brodziński z Mickiewiczem nie stanęli na czele nowego okresu dziejów literatury naszej. Po Barbarze Radziwiłłówny, na scenie teatru na-



FRANCISZEK WEŻYK.

wstęp do towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie. Czuł on potrzebę podniesienia sceny narodowej, znał całą jej ważność, rozumiał jak silną jest potęga słowa z jej desek rzucona w serca słuchaczy.

Zanim Feliński wystąpił z rozgłosną tragedya swoją *Barbarą Radziwiłłówną*, Weżyk w r. 1811

(*) Gmach ten przy ulicy Sławkowskiej tak już wykończonym zostanie w r. b., że na dole przed jesienią zbiory Towarzystwa naukowego pomieszczone będą.

szawie przedstawianą była tragedia *ślaw Śmiały*, w pięciu aktach wiér-Wanda, z druku tylko znana.

Przy trzecim piérwszych tragediach domieszczał autor rozprawy o poezji dramatycznej, w których rozwijał swoje pojęcia o téj gałęzi literatury, wskazywał wzory i prawidła.

Jakkolwiek poprzedził Felińskiego tragedją swoją, przy ogłoszeniu jéj drukiem pisze w końcu rozprawy drugiej:

„Zuchwalstwem może kto nazwie, że obok Felińskiego Barbary, która jeszcze przed wyjściem na widok publiczny powszechnie zyskała oklaski, poważyłem się wydrukować moją. Chociaż tragedia niniejsza, napisana w r. 1811 i w tymże roku wystawiona na scenie warszawskiej, oddawna przygotowaną była do druku, nie kwapiłem się z tém bynajmniej, obcym będąc zupełnie uwielbionej zgasłego poety tragedji, bo téj nawet nie zdarzyło mi się widzieć na scenie. Dziś, gdy dzieła Felińskiego są w ręku wszystkich, gdy z rozważnego czytania i odczytywania przekonać się zdołałem, że nic z sobą nie mamy wspólnego, prócz tego, co nam przekazały dzieje, a cośmy z nich obadwa równym prawem czerpali (są bowiem w całości dochowane mowy na sejmie piotrkowskim miane, z powodu sporów o Barbare: Boratyńskiego, Maciejowskiego i odpowiedzi królewskie), odważyłem się na udzielenie dziełka mojego krajowej powszechności, bez obawy aby mnie kto o naśladownictwo posądził. Nie wątpię iż z porównania tych dwóch jednéj osnowy i współczesnych sobie tragedji, wzorowe Felińskiego pióro w uznanéj od wszystkich objawi się świetności.“

W roku 1809 wystąpił po raz piérwszy Fr. Wężyk z całkowitym poematem p. n. *Okolice Krakowa*, którego dwie piérwsze pieśni wydrukował w Pamiętniku warszawskim Ludwika Osieńskiego. Utwór ten, treści tak przemawiającej do każdego serca, zapałem młodzieńczym skróśłony pięknym i potoczystym wierszem, dał wielki rozgłos imieniu jego w całym kraju.

W nieliczném gronie pisarzy, reprezentujących ówczesną literaturę, znakomite zajmował miejsce Fr. Wężyk. Gdy poczucie własnej, oryginalnej literatury, zaczęło w pączku wykwiatać, piérwszy, rzec można, poszedł drogą samodzielną, jak ją pojmovano w owe czasy.

Z ogłoszonych drukiem utworów tego pisarza mamy:

1) Rzym oswobodzony, scena historyczna we trzech aktach wierszem, wystawiona 1811 r.

2) Okolice Krakowa, poemat. Kraków 1820. (Drugie wydanie tamże 1833 r.)

3) Gliński, tragedia w pięciu aktach wierszem. Kraków 1822 (z dodaniem piérwszój rozprawy o poezji dramatycznej. Drugie wydanie, nakładem i drukiem Józefa Czecha, wyszło w Krakowie r. 1831).

4) Barbara Radziwiłłówna, tragedia w pięciu aktach, (z dodaniem drugiej rozprawy o poezji dramatycznej). Kraków 1822.

5) Bolesław Śmiały, tragedia w pięciu aktach, (z dodaniem trzeciej rozprawy o poezji dramatycznej). Kraków 1822.

6) Wanda, tragedia w pięciu aktach. Kraków 1826.

Kiedy wpływ Walter-Skotta silnie oddziaływać zaczął i rzucono się do pisania historycznych powieści, idąc za wzorem J. U. Niemcewicza i Bernatowicza, Fr. Wężyk wydał dwie powieści:

7) Władysław Łokietek, czyli Polska w XIII wieku. 3 tomy. Warszawa 1828 r.

8) Zygmunt z Szamotuł, powieść z dziejów XIV wieku. 3 tomy. Warszawa 1830.

W rękopiśmie spoczywa wykończony dramat wierszem w trzech częściach p. n. *Bezkrólewie*, znany z małych ustępów drukowanych w *Przeglądzie polskim*. Przekład piérwszój księgi *Eneidy* Wirgiliusza, ogłosił w Pamiętniku warszawskim 1809 r. Kilka ód, drukowanych w gazetach 1809—1812, odznacza się szczególną mocą, wysokim natchnieniem poetycznym i owym pięknym, czysto rodzimym językiem, którym nacechował wszystkie utwory swoje.

K. Wł. W.

Kronika tygodniowa.

Oto jeszcze kilka faktów z jarmarku łowickiego zebranych, których w przeszłotygodniowym pobieżnym sprawozdaniu, w czasie trwania samegoż jarmarku pisaném, nie mogliśmy zamieścić.

Przedewszystkiém należy nam oddać sprawiedliwość towarzystwu artystów krakowskich, pod dyrekcją p. J. Pfeifra. Byliśmy na trzech przedstawieniach samych prawie oryginalnych sztuk, między którymi, pod względem trudności zadania dla artystów, piérwsze miejsce trzymała komedia J. Korzeniowskiego pod tytułem *Majątek albo imię*. Po wysłuchaniu téj komedji doszliśmy do przekonania, że sztuki wiérszym większego rozmiaru daleko lepiej towarzystwu p. Pfeifra udają się, aniżeli drobne sztuki prozą. O dramatach już nie mówię, bo na te podobno, oprócz kilku artystów na scenie warszawskiej, trudno jest w kraju naszym znaleźć dobrych przedstawicieli; a pochodzi to głównie, o ile sądzimy, z téj przyczyny, że wszędzie u nas, nie wyjąwszy nawet warszawskiej sceny, ciż sami artyści co grają komedje i drobne sztuki, użyci bywają także do dramatów, co w żadnym razie nie może przynosić pożytku, bo te dwa rodzaje bardzo są niezgodnymi pomiędzy sobą i do każdego z nich na oddzielnój drodze trzeba się kształcić. A że dramata daleko rzadziej są grywane, więc téż i więcej cierpieć muszą na tém. W każdym jednak razie dziwiła nas staranność z jaką komedja *Majątek albo imię* przez artystów p. Pfeifra odegrana była, a mianowicie pilność w wyuczeniu się ról, o co przy ciągłych nowościach i nieustającej prawie wędrowce bardzo trudno. Można było tam dostrzedz kilka niepospolitych zdolności scenicznych, a żadna rola nie była zepsutą albo spaczoną, bo widocznie z pracą i zamiłowaniem wzięto się do dzieła, a praca wiele może. Publiczność téż liczném zebraniem się wynagrodziła starania artystów, chociaż czasami okazywała się zbyt wesołą, zwłaszcza przy śpiewkach, które słuchacze wraz z artystami powtarzali. Uważaliśmy jednak iż pomimo téj wesołości, wywoływania i oklaski sprawiedliwiej choć skąpiej wypadały, niżli to się w Warszawie zwykle dzieje.

Następującą rozmowę słyszeliśmy przy kassie teatralnej.

Dwaj obywatele wiejscy kupowali bilety.

— To dobre towarzystwo, odezwał się jeden do drugiego, a mianowicie podoba mi się wybór sztuk, bo to jest poszanowaniem dla publiczności, jeżeli jéj się daje dzieła oryginalne, zwłaszcza znanych i uznanych już autorów.

— Prawda to wszystko, odrzekł drugi, ale zawsze to jednak tylko truppa prowincjonalna.

Jakiś jegomość stał przy kassie i oburzył się na te słowa.

— Prowincjonalna, rzekł; może być, ale panowie nie macie prawa jéj tego wymawiać.

— A to dlaczego?

— Bo towarzystwo pana Pfeifra chyba dlatego nazywa się prowincjonalném, że grywa dla panów, wszyscy panowie bowiem jesteście także obywatelami prowincjonalnemi.

Uśmiechnięto się na te słowa i przyznano słusność żartownisiowi.

Pomiędzy innemi wypadkami jarmarcznemi widzieliśmy jednego pana, który kupiwszy konia za 400 złp., wziął za niego w dwie godziny później złp. dwa tysiące. W odpowiedzi zaś tym którzy twierdzili że jarmark był nieliczny, powiemy że ani we czwartek, ani nawet w niedzielę nie można było dostać mieszkania. Koni było mnóstwo i rozkupowano je po bardzo wysokich cenach; handlarze starozakonni mianowicie, zakupiwszy wszystkie konie, które przybyły z zachodnich prowincyj, sprzedawali je z bardzo wysokim zyskiem. Takich cen nie pamiętają jeszcze na łowickich jarmarkach. Pomiędzy obywatelstwem mnóstwo kupców kręciło się o zboże i ofiarowano wysokie ceny.

W sam dzień św. Mateusza zabito jakiegoś młynarza koło mostu na Bzurze i odarto z pieniędzy. To chyba zwykli szulerzy łowiccy, nie mając już co zyskać z gości jarmarcznych, pomścili się na młynarzu.

A teraz rozstaję się już na dobre z jarmarkiem aż do roku przyszłego, nie wspominając nic nawet o targach w Jędrzejowie i w Łęczny, które są już niejako tylko epilogami łowickiego jarmarku.

Przez wzgląd na Burgrafów, puszcza my *per non sunt* Córkę fabrykanta, w przeszłym jeszcze tygodniu przedstawioną. Téj komedji, jakkolwiek oryginalnej, najlepiej milczeniem przysłużyć się można i żałujemy tylko czasu artystów naszych na wyuczenie się jéj poświęconego. Za to przedstawienie Burgrafów śmiało zaliczyć można do wielkich uroczystości teatralnych, i dyrekcji za niemalą zasługę policzyć należy staranność z jaką wszelkie szczegóły obmyśliła. Dramat ten, jakkolwiek należący do lepszych Wiktora Hugo, nie utrzymał się na scenie paryzkiej, i nic w tém dziwnego, bo publiczność francuzka nie jest przyzwyczajoną do tego rodzaju widowisk, w których miłość podrzędną gra rolę. Dziwnie poważny, może nawet trochę napuszony nastrój tego dramatu, najlepiej odbija się w dłuższych ustępach, a wszystkie one odznaczają się wybornym przekładem, wyrównującym prawie oryginałowi. Nawet czasami zdaje się że w polskim języku silniej się to wszystko wyraża. Ta wielka postać Fryderyka, ten cesarz, który żelazną ręką chciał jedność Niemiec, supremacją władzy monarchicznej zapewnić, góruje nad całym utworem; ale myśl jego nie wcieliła się w żadnego z dalszych wieków następcę; wraz z rodem Hohenstaufonów i myśl Fryderyka zgasła. Odżyła ona w nowszych czasach, ale w innych zupełnie kształtach, bo Luter, wojna trzydziestoletnia i rewolucja francuzka przerodziły ją po swojemu. Dziwne to jest owo poetyczne natchnienie. Jak Wiktor Hugo, jak Francuz potrafił ożywić owo podanie niemieckie, posłyszane przy zwiedzaniu starych zamków nadreńskich? W ogóle jest to dramat bardzo efektowny. Oprócz głównej idei, żadnej prawdy historycznej nie szukaj tam w treści; za to w szczegółach koloryt drobiazgowo zachowany. A że stara cyganka bonuje sobie jak chce po owym strasznym burgu, że tam tu i owdzie niejedne znajdzie się nieprawdopodobieństwo, że nareszcie ta miłość Alberta i Reginy wygląda trochę jak piąte koło do woza przyczepione, to wszystko odkupione jest takimi scenami, jak na przykład Barbarosy z Jobem i Magnusem, oraz tą wielką ideą cesarstwa, zwyciężającą opór feudalizmu. Trzeci akt wydaje się jakby oddzielony już od całości i nie dorównywa innym, chociaż efektów mu nie brak.

O przekładzie Kaszewskiego mówiliśmy już. Muzyka, którą umyślnie Dobrzyński do tego dramatu dorobił, wielkie wzbudziła wrażenie: jest to wyborna przedmowa do téj średniowiecznej opowieści. W ogóle zasłużone powodzenie spotkało to piérwsze wprowadzenie Wiktora Hugo na naszą scenę. Prawda téż i to, że każdemu autorowi dramatycznemu życzymy szczerze takich tłumaczy jego myśli, jakimi się okazali: pan Królikowski, panna Palińska, pp. Chęciński, Bodurkiewicz i w ogóle wszyscy prawie artyści biorący udział w przedstawieniu; bo każda, by najmniejsza rolka starannie była opracowaną. Jeżeli znalazły się jakie niedostatki, zgasły one przy świetnej całości i nie warto o nich wspominać. Pan Królikowski podwójną położył zasługę, jako reżyser i jako artysta, bo prawdziwie olbrzymiał on w swojej roli. Panna Palińska, w charakterze zupełnie dla siebie nowym, przeszła oczekiwania tych nawet, którzy oddawna zupełną ufność w jéj talencie dramatycznym pokładali; pan Chomanowski rolę Fryderyka odegrał starannie; pan Chęciński wybornie mówi wierszem.

Pan K. Ostrowski przerobił na dramatyczny obrazek znaną sielankę Brodzińskiego pod tytułem *Wiesław*. Pan Bronisław Dębicki wydał w Krakowie obrazek pod tytułem *Bartosz z pod Krakowa, czyli Dożywcie w letargu*. Już to dramatyczna literatura znacznie się u nas ożywia; co chwila nowość jakaś wychodzi na świat. Dotychczas jednak tylko wielu jest powołanych.

Słyszeliśmy nową kompozycją Moniuszki pod tytułem *Muzyka kościelna*. Dotąd wyszły dwa numery: *Msza na trzy głosy* (dwa soprana i alt) i *Intende voci* (dwa soprany) z towarzyszeniem organu. Utwór ten nietylko odznacza się pięknnością kompozycji, lecz i tym wybornym pomysłem, że autor wydał oddzielnie pojedyncze głosy, przezco unika się często błędnego przepisowania i ułatwia niezmiernie wykonanie amatorom śpiewu.

NAGROBEK

ZOFII Z KSIĄŻĄT CZARTORYSKICH ZAMOJSKIĘJ
W KOŚCIELE SANTA CROCE WE FLORENCYI.

O Warszawie zresztą niewiele się da powiedzieć; ruch jeszcze w naszym mieście nie bardzo się zwiększył, chociaż codziennie mnóstwo osób przybywa z zagranicy. Bawił w tych dniach między nami przybyły z Francji ksiądz Kowalski, słynny z leczenia słabości ocznych. Sposób jego leczenia zupełnie podobno odrębny jest od zwykle używanych, i jak nas upewniano, a mówiły nam to osoby które same były jego pacjentami, najzawziętsze zapalenia oczne i inne choroby tego organu leczy on w kilkogodzinnej posiedzeniu. Więc też przez krótki czas pobytu jego w Warszawie niepodobna mu było uczynić zadość wszystkim zgłaszającym się do niego i ciągle drzwi jego w formalnym były obleżeniu.

Roboty około kolei żelaznej warszawsko-bydgoskiej szybko teraz postępują. Przyjechali już nawet przedsiębiorcy belgijscy, mający się zająć tą budową. Ważna to bardzo wiadomość, bo ta kolej stanie się niejako trzecim ogniwiem, które uczyni Warszawę centralnym punktem handlowym. Wkrótce też podamy naszym czytelnikom mapkę tej kolei, ze stosownym artykułem objaśniającym.

Słyszeliśmy także o innym projekcie, mającym niezadługo wejść w wykonanie. Wiadomo że trzy prawie najważniejsze pod względem wielkości i ilości wyrobu cukrownie w królestwie: hermanowska, orszewska i guzowska, tak blisko sąsiadują z sobą, że prawie tylko o pół mili jedna od drugiej jest oddalona. Najbliższa tych cukrowni stacya kolei żelaznej jest w Rudzie Guzowskiej; zawsze jednak od tej stacyi do samego Guzowa mila przeszło odległości. Dawniej szła tam kolej drewniana, która z drugiej strony ciągnęła się i ciągnie jeszcze do Radziejowic, i ciężary na nią prowadzono za pomocą koni. Ta kolej jednak okazała się niepraktyczną, po kilku bowiem leciech drzewo zgniło, a że naprawianie tyle prawie byłoby kosztowało co budowa nowej kolei, zaniedbano zupełnie tę drogę i zdjęto nawet resztę podkładów. Jedyną tedy obecnie komunikacją pozostała droga żwirowa, prywatnie zbudowana staraniem, nad utrzymaniem której czuwa komitet z pośród obywateli okolicznych wybrany, zamierzający nawet tę drogę dalej aż do Sochaczewa pociągnąć. Ale inny, jeszcze daleko dogodniejszy sposób komunikacji obmyślono podobno. Ze stacyi Ruda Guzowska ma być, jak słyszeliśmy, przeprowadzona kolej żelazna do wspomnianych trzech cukrowni, a przynajmniej do jednej z nich, chociaż nie wiemy na którą w takim razie wybór padnie. I nawet niebardzo daleki termin oznaczono na wprowadzenie w czyn tej myśli. Nam się zdaje że koszta takiej kolei, która będzie wyłącznie towarową, szybko się zwróca, bo do wzmiankowanych cukrowni niemały jest dowóz, a i cała okolica, już i tak dość handlowa, podniesie się przez to.

Czytelnikom naszym dobrze znajome jest nazwisko Bacciarellego, wysoko cenionego malarza króla Stanisława Augusta. Owóż ciekawą zapewne będzie dla nich wiadomość, że u jednego z obywateli w okolicach Sochaczewa, wnuk tego sławnego mistrza pełni obowiązki karbowego. Nie umie on ani czytać, ani pisać, ale wie dobrze o swoim dziadku i lubi o nim rozpowiadać to co słyszał od ojca. Nawet właścianie tameczni, przekręcając jego nazwisko, wiedzą że on z zamożniejszej rodziny pochodzi i nazywają go Włochem. Wypytywaliśmy się go o szczegóły jego życia; ma on jeszcze siostrę, która żyje gdzieś daleko, również w niezamożnym stanie.

Gdyby to było we Francji, zebranoby na tego człowieka składkę, bo jakkolwiek malarz Bacciarelli z obcego pochodził narodu, to jednak większą część życia tu przepędził, wyłącznie pracował dla nas i rodzina jego, jak o tym po smutnym losie wnuka przekonać się możemy, w kraju naszym pozostała. Wszak świeże przykłady przekonywają nas o tym poszanowaniu Francuzów dla pamięci tych, którzy talentem i pracą na uznanie publiczne zasłużyli. Ale u nas, co tu nawet mówić o takich dalekich rzeczach, kiedy świeżo zmarłe, a czasem nawet żyjące zasługi nie są poszanowane. Co kraj to obyczaj, mówi przysłowie; więc też jedynym polepszeniem losu jakie spotkać może *Bakalarz* (tak go chłopstwo nasze przezywa) jest wyniesienie go na godność ekonomską, co nawet wkrótce, jak słyszeliśmy, ma nastąpić. Szczęść mu Boże w tych nowych obowiązkach!

Księżniczka Zofia urodziła się dnia 25 września 1780 r., z ojca księcia generała ziem podolskich i Izabelli Flemming wojewodzianki pomorskiej, w Warszawie, w pałacu tak zwanym błękitnym, w kilka miesięcy po spaleniu się w tymże pałacu najpierwszej i ukochanej od obojga rodziców córki Teresy. Ojciec, który uczcił stratę drogiego sercu swemu dziecięcia tak dalece, że później nikt nie mógł wymenić w jego obecności imienia Teresy, ukoił w części żal, widząc wykwitające wdzięki i przymioty tej, którą widocznie Bóg mu dał na pociechę po ciężkim smutku.

W r. 1798 księżniczka Zofia zaślubioną została hr. Stanisławowi Zamojskiemu, młodszemu synowi Andrzeja kanclerza w. k. i Konstancyi z książąt Czartoryskich Zamojskiej, który wkrótce, po bezpotomnym zgonie brata swego Aleksandra, objął ordynacyę. Młoda pani Zamojska, kończąca zaledwie 20 rok życia, ujrzała się panią jednego z największych krajowych majątków. Nie zwróciło jej to jednak z drogi którą sobie obrała, ale i owszem podało tylko środki dobrze czynienia. Kraj wówczas wiele potrzebował, wojny, nieład wtrąciły go w bezwładną obojętność; tylko dobre chęci i silne środki mogły dać inny kierunek. Państwo Zamojscy niczego nie szczędzili, co tylko do obranego celu doprowadzić mogło. Podczas kiedy mąż zakładał fabryki, budził przemysł, pomocą i przykładem zachęcał do nauk, pani Zamojska podała myśl założenia Towarzystwa Dobroczynności i wszystkie swoje usiłowania skierowała ku urzeczywistnieniu tej myśli. Nie było ofiary którejby nie poniosła; pieniądze dary, trudy, prace, były dla niej niczem, w porównaniu z utrwaleniem instytucyi, której dobroczynne skutki do dziś dnia oceniamy. Prace te nie przeszkadzały jej jednak w wypełnianiu obowiązków czulej opieki licznych włości, zapełnionych pracowitym a biednym ludem, i uprzejmiej gospodyni jednego z najpiękniejszych ówczesnych domów. Kajetan Koźmian pisze: „Dom państwa Zamojskich trzymał pierwsze miejsce z wystawności, z zapraszania i przyjmowania osób znanych bądź z posług krajowych, bądź z literatury. Na wieczorach w tym domu czytano w obecności dam znakomitsze, przemawiające do usposobień poezye, teatralne sztuki, ulotne wiérse pisarzy już pewnej reputacyi, lub świeżo pojawiających się, z niesmiałym lecz niewątpliwym talentem.“ Obok tych wszystkich zajęć i obowiązków pierwsze i najświętsze były dla pani Zamojskiej obowiązki żony i matki. Wydała na świat i wychowała siedmiu synów i trzy córki: Konstantego, terażniejszego ordynata (ur. r. 1799), Andrzeja, terażniejszego prezesa Tow. rol. (ur. r. 1800), Jana (ur. r. 1802), Zdzisława (ur. r. 1810 † r. 1855), Augusta (ur. r. 1811), Władysława (ur. r. 1813), Stanisława (ur. r. 1820), Celestynę, terażniejszą hr. Tytusową Działyńską (ur. r. 1804), Jadwigę, terażniejszą księżnę Leonową Sapieżynę (ur. r. 1806), Elizę, późniejszą Zenonową Brzowską (ur. r. 1818 † r. 1857).

Dochodziła do pięćdziesięciu kilku lat życia, kiedy smutki i zawody doznane zachwiały jej zdrowiem. Pani Klementyna Hoffmanowa w jednym ze swoich dzieł mówi: „W ostatnich czasach tak widocznie dążyła do nieba, że osoby najwięcej ją kochające, nie śmiały życzyć przedłużenia życia, nie chcąc spóźnić jej szczęścia.“ Umarła we Florency dnia 27 lutego 1837 r., a na dowód czem była dla kraju i rodziny, dość będzie przytoczyć słowa autora *Pamiętników Seglasy*, wyrzeczone zaraz po odebraniu w Warszawie wiadomości o jej zgonie:

„Życie jej było nieprzerwanym pasmem cnót domowych i towarzyskich. Ludzie widzieli w niej wzór małżonek i matek, uwielbiali jej cnoty obywatelskie i widzieli iż ona była założycielką dobroczynnego stowarzyszenia, które nieszczęśliwym na wieczne czasy przytułek i wsparcie zapewnia. Ziomkowie, nigdy przedmiotem jej gościnnej uprzejmości lub dobroczynności będący, przechodząc będą długo z bolesnym wspomnieniem przed tym domem, w którym ona liczne towarzystwo z niewymowną uprzejmością przyjmować umiała, z uczuciem wdzięczności i uwielbienia przed tym gmachem, w którym za jej staraniem niezasłużona nędza schronienie znajduje. Pa-

mięć Zofii Zamojskiej póty trwać będzie, póki będą dusze zdolne oceniać wartość wytwornie ukształconego towarzyskiego pożycia i serca czule na niedolę współbraci.“

Stosownie do życzenia zmarłej, przed zgonem kilkakrotnie objawionego, zwłoki jej pochowane zostały we Florency, w kościele Santa Croce, gdzie postawiony jej został nagrobek umieszczony tu w drzeworycie, a wykuty z kamienia przez Bartoliniego.

W Warszawie w dniu 18 marca 1837 roku, w kościele metropolitalnym św. Jana, odprawione zostało nabożeństwo żałobne za jej duszę. Cały obszerny kościół, a nawet i przyległe ulice zapełnione były ludem, spieszącym oddać hołd cnotom zmarłej założycielki Towarzystwa Dobroczynności. Summę celebrował arcybiskup warszawski, a zasługi zmarłej wybornie wypowiedział w swój mowie ksiądz Szwejkowski, prałat i kustosz katedry płockiej.

Dwadzieścia trzy lat upłynęło od zgonu ś. p. Zofii Zamojskiej, a dotąd wspomnianą jest jeszcze z uwielbieniem między ludem pani błękitnego pałacu, dotąd żaden z przejeżdżających przez Florencyę Polaków nie ominie kościoła Santa Croce, aby nie westchnął przy jej grobie.

A. W.

KOPCIUSZEK.

W jesieni, o zmroku, siedzieliśmy w małym kółku dobrze znajomych. Mowa była o tych bajkach, w których to bywa dwóch braci mądrych a jeden głupi, i ci mądrzy nigdy sobie nie dadzą rady na świecie, a głupi znajduje skarby i żeni się z królowną.

— I siostron się tak samo nieraz zdarza, powiedziała Łucya.

— Ja nieznam bajki o dwóch siostrach mądrych a trzeciej głupiej, naiwnie odezwał się Karol.

— A ja znam bajkę o dwóch siostrach pięknych a trzecim kopciuszku, żywo wtrąciła Cesia.

— Tak, względnie do kobiet, poważnie zawyrokował Ludwik, trzeba by inaczej tę kwestyę postawić. Czy kto wie bajkę o dwóch siostrach pięknych a trzeciej brzydkiej?...

— Ja wiem prawdziwą historią, powiedziała Łucya.

— O dwóch siostrach pięknych?

— O dwóch siostrach pięknych.

— I o trzeciej brzydkiej?

— I o trzeciej brzydkiej, o kopciuszku.

— I ta trzecia dostała królewicza?

— Ha, opowiem państwu, to zobaczycie.

— Jaby wolał żeby to była historia taka, żeby królewiczów piękne dostały, i żeby piękne dały sobie radę na świecie. Proszę państwa, czy to być nie może? błagająco prawie mówił Karol.

— Pani Łucya takiej historii nie umie, z lekką ironią odparł Ludwik. Zobaczysz że te dwie piękne siostry będą złe, głupie, próżne, nabroją na świecie i pójdą do piekła; a ta brzydka będzie jak anioł dobra, jak Salomon mądra, za życia zbawiać będzie ludzi krociami, a po śmierci pójdzie królować w niebiesiach. Nieprawdaż?

— Jeżeli pan zechcesz słuchać, to się dowiesz. Ja powiem co widziałam, a czego nie widziałam, o tém mówić nie będę.

— Więc pani nie widziała kobiety pięknej, dobrej i szczęśliwej?

— Kiedy indziej, to i o takiej opowiem.

— A! to będzie ciekawa historia.

— Czy tylko aby prawdziwa?

— Czemu nie. Piękność w kobiecie... rozpoczął tonem oratorskim Ludwik.

— Piękność w kobiecie, przerwał mu szybko pan Antoni, piękność w kobiecie jest przeslicznym darem, zadatkiem szczęścia, podstawą potęgi; szkoda tylko że rzadko która dar ten oceni w właściwym stopniu jego wartości, rzadko która zadatku nie weźmie za szczęście całe, a potęgi nie zmarnuje.

— Czy będziemy słuchać morałów, czy opowiadania Łucyi? nachmurzona wyrzekła Cesia.

— Słuchajmy najprzód powiastki, a sens moralny potem się dzieciom wyłoży, odciął pan Antoni.

— Łucyo, czekamy na historią o kopciuszku.

— I o królewiczu, boć musi być i królewicz.

— Ale będzie, będzie, zobaczy pani, i dostanie się mądrą a brzydką.

— Czy to każda piękna musi już być głupia? z lek-
kim znów marszem mówiła Cesia.

— Założę się że te dwie siostry, o których wie-
 pani Łucya, były głupiuteńkie.

— Czy będziemy słuchać kłótni, czy powieści?
 spytał znów pan Antoni.

— Słuchajmy powieści, ale niech nam się i kłó-
 cić będzie wolno; to tak zabawnie. Łucyo! Łucyo! po-
 wieść o kopcuszk!

— Państwo Onufrowie, nasi sąsiedzi, mieli trzy
 córki. Helenka była ślicznym dziewczęciem o wysmu-
 kłej postaci, bladą twarzyczką, błękitnych oczach,
 długich jedwabnych rzęsach; była faworytką ojca,
 ukochanym dzieckiem matki. Młodsza Zosia była
 świeżą, świetną blondynką, w sąsiedztwie uchodziła
 za najpiękniejszą i była w łaskach największych

Matylda, bo Zosia miała tak tkliwe serce, tak dosko-
 nale z młodą nauczycielką dzieliła wszystkie koleje
 jej przeszłych, obecnych, a swoich przyszłych miło-
 ści (w liczbie mnogiej), że zespoliły się doskonale we
 wspomnieniach, marzeniach, rojeniach, nadziejach,
 obrazkach, rolach i scenach, które odgrywały i od-
 grywać miały w uroczej przyszłości i możliwych wy-
 padkach. W nieskończonych rozmowach, w cienistych
 alejach ogrodu, przy blasku księżyca, przeszły wszyst-
 kie przypuszczalne przygody szczęśliwej i nieszczę-
 śliwej miłości. Bywały i okrutne i ublagane, szczę-
 śliwe i uszczęśliwiający; odpowiadały lęklwym i zu-
 chwałym, nikczemnym i szlachetnym, słuchały z po-
 gardą i z uniesieniem tego, co im *jaćys kiedyś* mó-
 wić będą. Tymczasem romansowały w przyjaźni swęj
 wzajemnej; romansowały w miłości kmiotków, nad
 których losem nieszczęśliwym, zwłaszcza przy kim,

i przy fortepianie wyrabiała sceny, wcale nie tak jak
 Zosia. Nie lubiła jej p. Matylda, bo jej się często
 sprzeciwiała i zamiast czułości i tkliwego serca, któ-
 rego Zosia w rozmowach tyle dawała dowodów, mia-
 ła szorstkość jakąś dziwną, o byle co się rozda-
 ła i jak sobie co ułożyła, musiała postawić na swo-
 jęm. Na przykład czy to słychana rzecz była, jak
 mówiła ciocia i panna Matylda, żeby młoda dziew-
 czynka o taką bagatelę sama doprowadziła się do
 płaczu, a wszystkich do złości wkoło siebie. Szła za
 mąż dworska dziewczka, i ciocia z p. Matyldą same do
 ślubu ubierać ją chciały. Posadzono zatrwożoną i zmię-
 szaną Kasię na taborecie przed mahoniową toaletą,
 nawyciągano dla niej zużytych wstążek, i panna Ma-
 tylda z cicią, podając je sobie do upinania, po za-
 Kasią robiły do siebie miny, które ona w lustrze wi-
 działa. Marynia, stojąc obok toalety, dąsała się nie-



GMACH TOWARZYSTWA NAUKOWEGO W KRAKOWIE.

n panny Matyldy guwernantki i bawiącej w domu
 oczytanęj cici. Najstarsza Marynia była w domu
 kopcuszkim. Twarz jej zbyt nieregularna miała ry-
 sy, żeby obojętnemu, a tém bardziej uprzedzonemu
 oku podobać się mogła. Postać długo niewykształco-
 na, ruchy zbyt żywe, gesta zbyt wydatne nie przema-
 wiały na jej korzyść. Do tego ubiór zaniedbany, mó-
 wiąc bez retoryki najczęściej nieporządny, nie doda-
 wał jej wdzięku.

Za Helenką przepadał ojciec, szalała matka, bo
 to i piękna, i dobra, cicha, łagodna, potulna, skrom-
 na, lękliwa. Od samego urodzenia taką była, od sa-
 mego urodzenia nikomu się nie naprzykrzyła, niko-
 mu pracy nie zadała.

Zosię kochała czytana i utalentowana ciocia, bo
 miała zdatność do muzyki i szybkie pod jej kierun-
 kiem robiła postępy, bo miała najwięcej dystynkcyi
 i ładną pronuncyacyą francuzką. Kochała ją panna

wymownie się rozplywały; romansowały z cnotą, de-
 lektując się jej opisami; romansowały z piękną natu-
 rą, na której tle lubiły się oglądać wsparte na sobie,
 uniesione od ziemi, zapatrzone w obłoki; romansowa-
 ły z muzyką i śpiewem, towarzysząc im tłumionym
 westchnieniem, uściśnieniem ręki, łzawem ku sobie
 spojrzeniem; romansowały z modlitwą, jako z najpoe-
 tyczniejszym objawem najpoetyczniejszej fazy.

Maryni nie lubił ojciec, bo na panienkę była, we-
 dle jego zdania, za śmiałą i w tém niepodobną do
 Helenki. Nie lubiła matka, bo miała humor zmienny,
 dziwny, czasem w wesołości przebiegała miarę,
 czasem wpadała w zamyślenie niezrozumiałe, wcale
 nie tak jak Helenka, co była zawsze jednostajnie ła-
 godną i dla wszystkich uległą. Nie lubiła jej ciocia,
 bo była dziwaczką, często odezwała się nie w porę
 o książkach które dawała jej do czytania, chciała
 mieć swoje zdanie, do muzyki nie miała talentu

wiedzieć o co, i aż brzydko było patrzeć jak się zase-
 piła. Nareszcie, gdy już wpleciono w warkocz Kasi
 wszystkie paroletnie zapasy cici i p. Matyldy, został
 jeszcze kawałek krepy brudnej; ciocia zrobiła z niej
 motyla i podając pannie Matyldzie, pokazywała na
 migi, żeby go Kasi na czubku głowy przypiąć. Na to
 Marynia niegrzecznie wyrwała krepę z rąk panny
 Matyldy i zawołała na pół z płaczem: „Kasiu! nie daj
 sobie tego wpinać!” Ciocia się oburzyła, panna Ma-
 tylda się zirytowała, poskarżono przed matką, przy-
 wołano na sąd ojca. I takich scen z Marynią bywało
 codziennie niemało. A nic nie pomagało. Bo kiedy ma-
 tka łajała o nieporządek w ubraniu; kiedy sąsiadki
 lub ciocie pocieszały, mówiąc: „nabędzie tego, jak
 zaczniesz mieć pretensyą”; kiedy jej mówiono że męż-
 czyźni nie lubią nieporządknych kobiet, że się nigdy
 nie spodoba, — dziwne na to robiła miny, a nie po-
 prawiała się wcale. Kiedy jej wymawiano że niepra-

ktyczna, widocznie przykrém jój to było, bolesném nawet, a przecie nieznać w niój było odmiany.

— A co? panie Ludwiku, czy taki ani oł ta brzydka?

— Zaczekajcie państwo, pani Łucya przyprawi jój jeszcze skrzydła, na których przeczuwam że podniesie się wysoko.

— I ja przeczuwam że podniesie się wysoko.

— Jakże nie miałyby być doskonałością, kiedy brzydka?

— Czy to niema brzydkich i złych razem?

— Są, niestety, i nawet ich bardzo wiele.

— Kobiéta brzydka..... zaczął znów pan Karol.

— Kobiéta brzydka, przerwał mu znów pan Antoni, kobiéta brzydka może równie jak piękna dojść do dojrzałości duszy, do pięknego wszystkich swych władz rozwinięcia i pozyskać jeżeli nie miłość wybranego, to przyjaźń, szacunek wyborowych, co przecież warte hołdów i poklasków ciżby.

— Pan Antoni już zaczyna wykladać sens moralny, a powiastka jeszcze nieskończona. Kończ Łucyo, jam bardzo ciekawa mężów tych trzech panienek.

— Pannie Cecylii pilno do konkluzji, a my prosimy o dalszą charakterystykę.

— Cóżby wam tu jeszcze dodać do charakterystyki? Chyba to, że Helenki ulubioném miejscem był mały stołeczek w pokoju matki, u jój kolan. Że Zosia, jeżeli się nie błąkała po ogrodzie, to siadała w jedném lub drugiem oknie na trakt wychodzącym. Że Marynię częste spotykały polajania za zagładanie do czeladniczej izby i za długie z kobietami wiejskimi rozmowy. Że kiedy przyjechał kto z gości, Helenki wyciągnąć nie można było. Jak ptaszyna postraszona w gniazdku, rada była skryć główkę pod macierzyńskie skrzydło, rumieniła się za każdym słowem, na każde zapytanie miała dar wyszukiwać najkrótszej odpowiedzi, i wtedy głos jój drżał, a łzy często były na doręczu, co wszystko, według zdania większości, jakiegoś niepospolitego dodawało jój wdzięku.

Zosia śpiewała, grała i rozmawiała o poezji, z czego matka się cieszyła, ciocia tryumfowała, a ojciec słodkie fundował nadzieje. „Zobaczycie że Zosia najpierw się podoba, mawiał do żony i siostry. Na Helence się nie każdy pozna, choć anielskie serce ma ta dziewczyna, a Marynia wątpię téż żeby sobie znalazła kogo, bo jako zakład, zawsze gdy kto jest, najgorzej się wyda.“ Jakoż rzeczywiście, wbrew przepowiedniom sąsiadek i ciotek co matkę dawniej konsolowały, Marynia już była dorosłą panną, a jeszcze nie nabrała pretensyi, i wdzięk naturalny rozwinać się nie mógł, pod grozą niechętnych, uprzedzonych spojrzeń. Marynia skazaną była na życie najwięcej samotne. Helenka potrzebną była do zastąpienia matki, której rozkazy ślepo spełniała; Zosia potrzebną była do bawienia gości; Maryni nikt nie potrzebował i potrzebować nie chciał. Wiele razy ona spróbowała w zarządzie domu czynniej wystąpić, wołano: „Daj pokój, ty tego nie potrafisz! To nie dla ciebie! Ty nie potrafisz wydać, nie

potrafisz uszyć!“ A żeby potrafiła zarządzać, nikomu nawet w myśli nie powstało. Tak więc zawsze Marynia zbita z toru, rada nierada wracać musiała do swego pokoiku, do książek, do przechadzek w pole, do gawędki z wiejskimi ludźmi, i nikt się nie pytał jak się kształciło serce, jak się myśl rozwijała.

Tak zeszło lat parę, aż nareszcie.....

— Zjawił się królewicz?

— A jeśli go nie rozpoznasz?
— Prędzej się nie doczekam, jak nie rozpoznam.
— Więc jesteś pewną że się i doczekasz i rozpoznasz?

— Nie, tylko tego jestem pewną, że jeżeli się doczekam, to rozpoznam.

— A jeśli się nie doczekasz?

— To i tak nikogo z motłochu koronować nie będę, jak to pan Ludwik łaskawie doradza.

— Ale dajcież państwo już raz dokończyć Łucyi. Zjawił się tedy najprzód niekrólewicze.

— Najprzód zjawił się pan Stefan, dla nas znajomych i sąsiadów całkiem niespodzianie. Rodzice o tém nagłym zjawieniu się już podobno piérwéj coś wiedzieli. Wydało się to potem po trochu, że pan Onufry dawniej znał ojca pana Stefana; że na jakiś czas zawiesiły się ich stosunki, bo pan Wojciech przeniósł się daleko w Augustowskie; że jakoś na jesieni pan Onufry przypomniał sobie przyjaciela i pojechał go odwiedzić. Właśnie w tym czasie pan Stefan, po ukończeniu uniwersytetu w Berlinie, po półrocznym pobycie w Paryżu, paromiesięcznym w Wiedniu, powrócił do kraju, żeby objąć półmilionowe dobra, które mu ojciec chrzestny umierając zapisał.

W sąsiedztwie nie rozgadywano o téj jesiennéj wizycie; sąsiedzi téż zdziwili się, gdy na wiosnę, ni z tego ni z owego, zjawił się konkurent. Wprawdzie z początku trudno było zgadnąć o którą z panienek konkuruje, a nawet czy konkuruje. Te trzy czy cztery razy co był w Bruzdewie, nie utrudził się staraniem o serce, ani nawet o rękę panny. Jakoś od piérwszego razu w saloniku przywłaszczył sobie najwygodniejszy, największy fotel, siadywał w nim na pół leżąc, przyjmując usługi od gościnnych panienek i troskliwej o szczęście dzieci matki. Ożywał się gdy była mowa o winach i sérach zagranicznych, o koncertach wiedeńskich. Aż coś za czwartym razem, to co zwykle mówi kawaler lub wdowiec panie lub wdowie, z którą ma zamiar się żenić, pan Stefan zaczął mówić nie Zosi, nie Maryni, lecz Helence. Helenka napłakała się niemało.

Nieraz, utuliwszy mi główkę na piersiach, mówiła łkając prawie: „Ja nie chcę iść za pana Stefana! On bogaty, ja się go boję, ja go nie kocham, ja nie potrafię ani gości przyjmować, ani gospodarować w pałacu.

— Któż cię przymusza? to odmów.

— Nikt mnie nie przymusza, ale wszyscy namawiają, prócz Maryni. Rodzice sobie życzą.

— Cóż to znaczy, jeżeli ty nie widzisz w tém szczęścia.

— Ja? Czy ja wiem? On taki

wykształcony, był na uniwersytecie. Taki zacny obywatel, zapisał z tego majątku odziedziczonego 1000 zł. na jakąś tam bibliotekę. Ma krewnych znakomitych.

I tu biédne dziecię, jak pozytywka nakręcona, powtarzać zaczynała piosnkę którą jój wszyscy w domu od rana do nocy śpiewali, a śpiewali póty, aż zgłuszyła wszystkie lęklive i słabe dźwięki dziewczęcego serca. Za szóstą bytnością pana Stefana Helenka była zaręczoną.



NAGROBEK ZOFII Z KSIĄŻĄT CZARTORYSKICH ZAMOJSKIEJ WE FLORENCYI.

— Ho, ho! moja Cesi, nie tak to łatwo o królewicza. Przejdzie często cała świta dworaków, służebników, pretendntów, nim się urodzony król zjawi... a czasem i nie zjawi się wcale.

— I trzeba sobie kogo z motłochu wybrać i saméj w królewskie insygnia ustroić. Dziękuję za tę łaskę.

— Więc będziesz czekała na królewicza?

— Będę czekała.

— A jeśli go się nie doczekasz?

— Potem przyjechali rodzice, stryj, ciotka, przywozili bogate prezenty, bransoletki, kolczyki; potem się robiła wyprawa; potem był ślub, na którym Marynia bardzo płakała; potem państwo Onufrowie w kilka miesięcy pojechali w Augustowskie, i wróciwszy, bardzo wiele mówili o pałacu i o ogrodzie, a bardzo mało o zięciu. Potem Stefanowie byli w Bruzdewie i on siedział jeszcze wygodniej w owym fotelu, na którym odbył konkurencję. Ona była blada, cierpiąca, garnęła się i tuliła do niego, a on czulej niż na nią, spoglądał na stolik zastawiony jak dla półmilionowego zięcia, co zjadał przysmakczki w Wiedniu i Berlinie. Potem... we dwa lata ona umarła.

— To już jedna piękna siostra, co nie dała sobie rady na świecie.

— A teraz królewicz.

— Nie, teraz pan Tomasz. Pan Tomasz był najbliższym Bruzdewa sąsiadem i kolejnym wszystkich trzech pańienek konkurentem. Że Marynia najstarsza, więc się oświadczył o Marynię. Marynia odmówiła, zwrócił się do Helenki; Helenkę zabrał pan Stefan, począł się więc adresować do Zosi. Pan Tomasz gospodarował na niewielkiej wiosce, ale za to z gorzelnianymi miał intraty. Szkół nie skończył, ale za to pokornie unikał wykształconych ludzi. Muzyki, ogrodu, książek nie lubił, ale za to był rządny, oszczędny i w trzydziestym którymś roku bardzo pragnął się ożenić. Zosia, póki pan Tomasz starał się o Marynię, a następnie o Helenkę, nie mogła znaleźć słów na wyrażenie pogardy, odrazy, wstrętu jakie w niej wzbudzał; gdy jednak do niej zwrócił wzgardzone swe afekta, tkliwe serce wrzuciło się jakoś, a usłużna imaginacja pospieszyła je usprawiedliwić. Ujęła panu Tomaszowi połowę tuszy, oczom płowo-niebieskim dodała głębokości i błękitu; próżno siła się jednak, by uśmiechowi nadać wyraz smętny słodyczy. Pan Tomasz nie miał uśmiechu!... Zosia utrzymywać zaczęła, że pan Tomasz ma także tliwe serce, tylko zapoznane od ludzi; zapragnęła rozbudzić i rozwinąć tego serca instynkta, zapragnęła życie jego pełne trudu osłodzić miłością, owiać urokiem poezji. A kiedy jeszcze ojciec, matka, siostra odradzać jej zaczęli ten związek, w trudnościach i przeszkodach pasowała siebie na bohaterkę, jego na bohatera, i... pobrali się.

— I także umarła?

— Nie, żyje. Czasem tylko w lecie cierpi od zbytnej tuszy. Muzykę zarzuciła, czépek tylko zawsze trochę romantycznie nosi. Sama chodzi do sklepu i sama mierzy wódkę. W doglądaniu drobiu, sprzedaży mléczywa, nikomu zastąpić się nie da. Mówi bardzo głośno i bardzo dużo. Skarży się na sługi i na dzieci; wszystkiego czego się nauczyła od p. Matyldy i od odczytanej cioci, zapomniała.

— I ta także przepadła, dlatego że była piękną.

— Przepadła dlatego, dlaczego przepada większa część kobiet pięknych czy brzydkich, odezwał się p. Antoni; przepadła dlatego, że nie rozwinięto w niej rozsądku, nie rozbudowano myśli, nie wskazano jej celu, nie wytrzeźwiono szerszym na życie poglądem. Żeglując w mglistych obszarach marzenia i sterując się nudą, dobiła....

— Do gorzelnianina pana Tomasza.

— W takiej żegludze kobieta zawsze albo się rozbije o pierwszą lepszą skałę, albo dobieje gdzie trafia zanieśie: do gorzelnianina, jeżeli na drodze gorzelnianina, do salonu, jeżeli na drodze salonu. Skąpstwo czy lafiryndyzm, zręczność czy kaprysy, skwaszenie się czy roztrzęsienie, wszystko to do przewidzenia, wszystko to tylko rzecz przypadku....

— Że też pan Antoni wytrzymać nie może do końca powiastki z wykładem sensu moralnego, wyrzekła znów Cesia. Łucyo, mów co się stało z Marynią; ja mam do niej wielką sympatyę.

— I ja miałam wielką, a zwiększyła się ona jeszcze, gdy ją bliżej poznała i ściślej się z nią zaprzyjaźniła. Gdy państwo Onufrowie, w rok po ślubie Helenki, pojechali do niej na czas dłuższy, Marynię u nas zostawili. Potem pani Onufrowa pytała się mojej matki, jakich czarów dokazała z Marynią, że ją tak zupełnie zmienioną oddała. Tymczasem Marynia się nie odmieniła u nas, ale ten pobyt wśród przychylnych i umiających ją cenić może dopomógł do postawienia jej na właściwej drodze. Marynia poznała u nas Eleonorę, którą znacie za uosobienie dystynkcyi jaką wyższość duszy nadaje, estetyki co się rodzi z wyrobienia

i harmonii władz wyższych. Poznała ją, i czego nie mogły dokazać łajania i groźby że się mężczyznom nie spodoba, tego dokazało objawienie prawdziwej artystycznej piękności. Nie naśladowując Eleonory, Marynia w ubiorze swoim, układzie włosów, dobięciu kolorów zaczęła być baczniejszą, staranniejszą, zaczęła rozwijać w tym wszystkim smak sobie właściwy, i powierzchowność jej, ułożenie, nabrały odrębnej, wybitnej a piękną jej duszę znamionującą cechy. Że zaś po oddaleniu się siostr, przy coraz słabszym zdrowiu matki, stanęła na czele domu, że po śmierci Helenki zajęła się wychowaniem jej Bronci maleńkiej, że w tym nowym położeniu rozwinęła działalność, energią, wszystkie zdolności kobiecego ducha, wszystkie instynkta ładu, troskliwości macierzyńskiej, — było to zapewne skutkiem tego, że zyskała właściwe sobie pole, a ułatwiły jej może drogę niektóre ojca mego uwagi. Bo kiedy ojciec mój rozmawiał z nią poważnie, gdy w rozmowach tych wskazał rzeczywistość i rozsądną oszczędność, baczność na drobiazgi, akuracjonalność codzienną, czynność jednostajną, ćwiczenie kolejnych władz wszystkich, jako środki do wysokich celów, gdy cele te jasno określił przed jej myślą, wówczas Marynia, jakby ze snu ocknięta, całą duszą trzeźwiała. Rozwinęła się w niej siła, jakiej my nawet nie podejrzewaliśmy u niej, stała się duszą, podporą całego domu, i fama jej praktyczności rozeszła się daleko.

Pan Stefan od czasu do czasu bywał w Bruzdewie. Przyjeżdżał odwiedzać swoją córeczkę maleńką, którą trudniła się Marynia, przyjeżdżał, bo się nudził w samotnym domu. Mając za sobą wspomnienia podróży za granicą, był w stanie ocenić ten komfort, jaki zarząd Maryni zaprowadził w domu. U siebie, bez zarządu kobiecego, pozbawiony często wygod, umiał ocenić skutki baczności oka bruздewskiej gosposi, umiał nawet po trochu ocenić skutki jej starań około własnej jego córeczki. I dziwna rzecz, kiedy mówił do Maryni, nie śmiał siedzieć w owym historycznym fotelu, a mówił coraz częściej, coraz dłużej.

— Pewno on wyjdzie na królewicza, przerwał jeszcze Karol.

— Założmy się że nie, odparła Cesia.

— Zgadujcie państwo po kolei. Panie Ludwiku! Czy Stefan będzie tym wybranym, tym królewiczem?

— Najpewniej. Panna Maryanna, radując się że go podnosi na duchu, będzie chciała to zaszczytne przedsięwzięcie kontynuować, i stworzy z niego ideał obywatela, wzór okolicy. To tak pięknie stwarzać, podnosić, oczyszczać, to tak modnie nawet teraz, być wyrwanym z kałuży, wybielonym, wyanielonym.... przez kobietę.

— Pan Ludwik widać teraz dopiero czytał Feuilleta, nie czekając kolei odezwał się pan Antoni, i nie wie że i on już nieco wyszedł z mody. A prawdą jest co po wszystkie wieki prawdą zostanie: miłość, będąca żywszym uczuciem przyjaźni, braterstwa, którego równość podstawą i koniecznym warunkiem.

— Jam zawsze słyszał że kobiety są chciwe panowania, wyrwał się nasz naiwny Karol.

— Kiedy mówisz *kobiety*, z coraz większym ożywieniem mówił pan Antoni, to najprzód zrób sobie między nimi podział na....

— Piękne i brzydkie, to się ma rozumieć.

— Ale gdzież tam, jest tych podziałów daleko więcej, wyrzekł pan Ludwik. Filozofki, gospodynie, dewotki, lafiryndy, damy, parafianki, poetki, marzycielki, kto tam te gatunki zliczy?

— A tymczasem rzeczywiście jest ich dwa tylko: kobiety nierozwinięte i rozwinięte moralnie. W pierwszym dziale pomieszczają się wszystkie wybryki, niedołęztwa, kaprysy, fantazyje, zachcianki; na drugi przypadają prawe dążności i zacne żądania.

— Prawda Łucyo, że Marynia nie poszła za pana Stefana.

— Nie, nie poszła, choć jej się rzeczywiście oświadczył. „Odmówiłam mu, opowiadała mi sama. Wierzę że nałóg, że dogodność własna, może względ na Broncię, mogły go skłonić do pragnienia związku ze mną; ale po co to poświęcenie z mojej strony? W sobie miałam zabijać władzę szczęścia, jakie przeczuwa dusza moja, a jemu dawałabym tylko to maluczkie, egoistyczne szczęście, jakie jedynie pojąć może.“ Perswadowali rodzice, dziwowały się sąsiadki, Marynia stała przy swoim.

— Więc wcale nie poszła za męża? smutnie zapytała Cesia.

— Zdarza się to czasem pannom, które koniecznie czekają na królewiczów.

— A jednak, gdyby żadna nie chciała wybierać z motłochu, jak to pan Ludwik doradzał, możeby się i więcej królewiczów znalazło.

— Oho! Panna Cecylia się nie uczyła ekonomii politycznej, a wie że żądanie wywołuje produkcję.

— Przyznaję panu wyższość w znajomości ekonomii politycznej; ja zaś znam ją o tyle tylko, że pragnę w produkcji lepszości gatunkowej.

— Pani chce świat zreformować?

— Nie, ja chcę tylko w życiu stosować to, co się stanie moim najświętszym przekonaniem. Boć cała korzyść z moralnych powiastek, to naśladowanie dobrych przykładów. Nieprawdaż, panie Antoni?

— Prawda! ślicznie, ani słowa!

— I we wszystkim chcesz naśladować Marynię?

— We wszystkim.

— No to i ty znajdziesz królewicza, bo go i Marynia znalazła.

— Nie może być! zawołała Cesia i z krzesła się zerwała; lecz wnet zawstydzona wróciła na miejsce.

— Czy się pani tak cieszy że panna Maryanna królewicza znalazła? nieubłagany zapytał Ludwik.

— Pewnie że dobrze, iż choć jeden znalazł się królewicz.

— I choć jedna szczęśliwa kobieta.

— Łucyo, gdzie go znalazła Marynia?

— W Warszawie.

— To na wsi królewiczów niema?

— Ja tego nie mówię, tylko mówię że pana Adama Marynia poznała w Warszawie.

— Prosilibyśmy o szczegółowy rysopis królewicza, aby według tego wzoru i stosownie do życzenia panny Cecylii rozmnożyć ich gatunek.

— Pan Adam żył dla jednej myśli zacnej; pracą sumienną, wytrwałą, wykształcił się wysoko w swym zawodzie specjalnym, uważając go za grunt pod nogami, na którym stojąc pewno, dopiero szerszą działalność rozwinąć można. Wiedza jego nie była pstrą sztukowanką różnorodnych kawałków, ale stała się silną podstawą myśli, która czy głęboko, czy wysoko sięgnęła, czy w przeszłość, czy w przyszłość się zapuściła, czy, co najczęściej, nad obecną zatrzymała się chwilą, zawsze przyniosła plon obfity prawdy żywotnych. Pan Adam ukochał prawdę i był jej zwolennikiem, jej stróżem we wszystkich stosunkach, we wszystkich najdrobniejszych okolicznościach codziennego życia, tak iż między celem ostatecznym który oznaczył sobie, a słowem którym żądał posługi od domowego stróża, lub którym odpowiadał zwierzchnikowi swemu, była jedność zupełna, ciąg nieprzerwany. Między tą prawdą co leżała jasna, niewzruszona na dnie serca jego, a każdym jego postanowieniem i postępkiem, była jedność doskonała i niezachwiana. Prawdy tej strzegł, walczył, dobił się o nią w kole najpowszedniejszych znajomości swoich, na najwyższych i najniższych stopniach hierarchii uczuć i obowiązków. Posiadał w wysokim stopniu dwa główne znamiona królewkości w mężczyźnie: wielką siłę, obok wielkiej dobroci; zdobywać się i z całym jej poczuciem podnieść się aż do dobroci, to podobno patent na królewicza.

— Ale jak się poznali? czy nie mieli jakich przeszkód? czy żyją dotąd?

— Pan Onufry umarł przed słabowitą żoną swoją, ona z Marynią przeniosła się do Warszawy. W ich poznaniu się, miłości, pobraniu, żadnego romansu ani żadnych przygód nie było. Poznali się w domu dalekich a wspólnych krewnych. Ponieważ żadne z nich nie zmarnowało serca na fałszywe sentymanta, serca te zachowały instynkt prawdy, który im się dał odgadnąć i ocenić wzajemnie. Podali sobie ręce na drogę żywota, i dotąd wspólnie nią idą, nie cofając się przed żadną powinnością ni cierpieniem, podnosząc każde brzemie wspólnymi siłami, nie robiąc ustępstw najmniejszych żadnemu fałszowi i dążąc coraz wyżej.

— To już koniec?

— A koniec.

— A sens moralny?

— Sens moralny się póty dzieciom wyklada, póki go same nie są w stanie wynaleźć.

— Więc ja jestem w stanie sama go wynaleźć.

— Jesteś niezaprzeczenie warta królewicza.

Świece wraz z samowarem wniesiono do pokoju, i skończyło się posiedzenie.

Nazajutrz Cesia mi mówiła, że kiedy była mowa o dobroci obok siły, pan Ludwik chrząknął parę razy, a pan Karol jakoś nie mógł chustki do nosa wyciągnąć z kieszeni; lecz że ja tego nie widziałam, więc nie zaręczam.

Z. J. A.

PERSEUSZ KANOWY.

(Artykuł nadesłany.)

Znamienity utwór tegoczesnej rzeźby, *Perseusza Kanowy*, przywieziono w tych dniach do Warszawy i wystawiono na widok publiczny. Miasto nasze bardzo mało posiada oryginalnych lepszych dzieł dłuta, a Kanowy nie ma zupełnie; nawet dobrych kopij z tego mistrza nie spotykamy u nas. Wielu też, szczególnie młodzież nasza, oddająca się sztukom pięknym, spieszy korzystać ze sposobności.

Rzeczywiście jest to arcydzieło, zasługujące na ścisłe, wszechstronne poznanie; i my więc zwracamy na nie uwagę czytelników naszych, a zarazem podajemy niektóre o niem wiadomości.

W roku 1800 Napoleon I, znanym i w Warszawie zwyczajem, zabrał z Rzymu do Paryża wszystko, co tam pięknego zabrać się dało. Oczywiście że sławny starożytności zabytek, Apollo belwederskim zwany, był wzięty przed innemi. Ograbione sale Watykanu smutny przedstawiały widok; papież więc Pius VII zawezwał Kanowę, ażeby opróżnione miejsca zapełnił swojemi już znakomicie sławionemi pracami. Mistrz postanowił godnie odpowiedzieć szacownemu wezwaniu, wykonał Perseusza i postawił go na osieroconym Apollina piedestale.

Zapał dla Kanowy dzieła był powszechny; jednakże na białym marmurze statui dostrzeżono kilka złotych plamek, kilka sinawych smużek — wady, które u Włochów wykształconych, i, powiem, zbałamunconych nawałem arcydzieł, zmniejszają znacznie cenność rzeźby. Kanowa powtórzyć musiał swój utwór dla Watykanu. Tą razą trafił na marmur czysty zupełnie.

W roku 1815 Perseusz ustąpił miejsca powróconemu z Francji Apollinowi, stanął wszelako naprzeciw niego. I słusznie: gdyż dzieło to nowoczesnej sztuki niewiele ustępuje wielbionym utworom sztuki starożytnej.

Pierwovzór Perseusza wystawiony został do zbycia i w r. 1804 przeszedł na własność (podobno za sto tysięcy złp.) hr. Jana Tarnowskiego, niepospolitego znawcy i miłośnika snycerstwa. Hrabia kosztowny nabytek sprowadził dopiero w r. 1817 do Horochowa, dóbr swoich na Wołyniu, i pomieścił go w sali wyłącznie w tym celu zbudowanej. Po śmierci właściciela, ulubiony mu posąg różnej doznawał doli; obecnie jest własnością syna i będzie podobno przewieziony do Petersburga. Przypominamy czytelnikom, że tameczne pałace posiadają już dwie Kanowy roboty: Amora z Psychą, podobnież ze zbiorów horowskich pochodzących, i Hebe.

Perseusz był przedmiotem wielu uroczych zmyśleń dawnych Grecyi i Rzymu poetów, był także częstym zadaniem dla wielu dawnych i nowych artystów. Najchętniej przedstawiano go w walce z Meduzą, i takim właśnie jest u Kanowy.

Dla snadniejszego z naszym bohaterem poznania się, trącamy pamięcią o kilka mytów czyny jego podających.

W odwiecznym Peloponezie królowi Argów wyrocznia bolesną przepowiedziała przyszłość: wnuk miał go pozbawić tronu i życia. Władca był wtedy ojcem jedyną przesliczną Danai. Strwożony, osadza niebezpieczne dziecię w warownej wieży i tak samotną trzymać przez całe postanawia życie. Odosobniona od ludzi, nie mogła jednak pozostać ukrytą przed Olimpu panem: Jowisz dostrzegł ją i w postaci złotego deszczu odwiedził. Poznał ojciec, że warunki nie pomogły i kazał córkę wraz z wnukiem rzucić w morze w rozbitej łodzi. Niebaczna Danae przypląwa do Seryfy, cykladskiej wyspy, i tam dla siebie i niemowlęcia zjednywa opiekę króla Polikteta. Zajął się on wychowaniem dziecka, zaprawił je do bojów, do zamorskich wypraw. Pojętny chłopczyk wyrasta na dzielnego młodzieńca i niebawem rzuca się na najtrudniejsze przygody. Był to Perseusz.

W Atlasie siedzibie, pod spiekłem Afryki niebem, panowały tajemnicze siostry Gorgony. Jedną, Meduzę imieniem, zdobyły ponętne, ogniste oczy i długie, pełne, miękkie włosów sploty. Była ona przedmiotem pochwał i ludzi i bogów, a więc ofiarą zadróści na ziemi i w niebie. Chełpliwa z wdzięków, śmiała się wynosić nad Minerwę samą, Minerwę mądrą, lecz krótkowłosą i zimnooką. Ukarala ją Aten orędowniczka: miękkie jej włosy przeobraziła w jadowite węże, a jej spojrzeniu dała zabójczą siłę, zdolną zamieniać wszystko w twardą opokę.

I kamienie ludność okolicy, kamienią zwierzęta, ptaki, rośliny. Żyzna, bogata kraina zostaje stepem skalistym. Trwoga powszechna; na jej odgłos biegną świata całego męże, walczą z zaklętą i — kamienią wszyscy. Biegnie i Perseusz. Minerwa daje mu swój puklerz, Pluto przyłbicę, a Merkury skrzydła. Walka niedługa: Gorgona zabita. Pierwsza wyprawa syna Danai krocie nieszczęśliwych ocala.

Tak więc bohater nasz, jest to młodzieniec zaledwie rozwity, ale już silny potężnie; pierwsza jego walka miała na celu wyswobodzenie nieszczęśliwych, pierwsze jego zwycięstwo ułatwiły bogi, a pierwszą zdobyczą — straszna, złowroga głowa Meduzy.

W chwilę po dokonaniu heroicznego czynu, Perseusz Kanowy staje przed nami.

Odciętą głowę trzyma w ręku lewem, wznosi ją wysoko, chce być pewniejszym że już oddzielona, odsuwa ją daleko, bo te wijące się węże, te ogniste oczy, zabijają, okamieniają jeszcze.

W drugiej ręce miecz trzyma; opuszczona to, lecz gotowa do walki prawica.

Zwycięzca posuwa się naprzód, ku oczekującym skutku boju; zaniesie im swego powodzenia dowód, ich ulgi rękojmię; posuwa się zwolna, cieszy się, nąpawa roskoszą dokonanego dzieła. Wpatruje się, wnika w tę węzowłosą głowę, i niepewny, lekko odchylonemi usty powtarza sobie: *nie żyje*.

W tém wejrzeniu, w tém przemówieniu jaśnieje dziwnie ujmująca, młodzieńcza skromność, jak po nieoczekiwanem zwycięstwie; młodzieńcza radość, rzewność, jak po ocaleniu udręczonych.

W postawie znowu całej widna siła już doświadczona, dzielność już uwieńczona czynem. Postawa ta zapowiada nam, w przyszłości niedalekiej, niezwykłego wojownika, mytów bohatera.

Nie takim pogromcą Pytona, Apollo. On spoziera dumnie, wyniosłe na pokonaną olbrzymią potworę. On milczący, radością nie dzieli się z nikim, o oswobodzeniu nikogo nie uprzedza, jakby walczył jedynie dla chwały swojej. Apollo bóstwo pogan, i jego posąg pogański Grek kował; Perseusz także poganin, lecz wyszedł z rąk chrześcianina, w nim więc przeswita zaparcie się siebie, poświęcenie dla bliźnich, rokosz z dobrego czynu.

Kanowa w Perseuszu, mimo że nie przestał być nowoczesnym mistrzem, pragnie zostać starożytnym. Prózne usiłowania. Twórca pomnika Rizzoniego i Maryi Krystyny już nam nie da prawdziwie greckiej Wenery, ani rzymskich atletów.

Kanowa, ujęty pięknnością starożytnej rzeźby, pierwszy z nowoczesnych otrząsł się z *barocco*, rozmiłowanego tylko w codziennych, powszednich formach. On pierwszy zaczął idealizować postać człowieka, jak to starożytni czynili, i jak oni dawał swym posągom istotne, ziemskie ciało. Te wielkie zalety, a potem smak wytworny, wykończenie dokładne, cechują i statwę Perseusza.

Cały posąg wykuty jest z białego karraryjskiego marmuru, jednolity; głowa zaś Meduzy była pierwotkowo z białego alabastru, czy też z białego marmuru, i ta znajduje się w Dzikowie w Galicyi, w zbiorach hrabiów Tarnowskich; tymczasem zastąpiono ją modelowaną z gipsu. Czy nie chciano tą przemianą ulżyć ciężaru lewej ręce, która pod zakryciem z draperyi jest doprawioną i przez to osłabioną znacznie?

Obecnie statwę wystawiono na widok publiczny. Nie wiemy komu winni jesteśmy tę przysługę, ale prosimy o właściwsze posągu pomieszczenie. Rzeźba sama ma 4 łokcie wysokości, a z podstawą łokci 6, i postawioną jest w tak szczupłym pokoju, że na nią zaledwie z czterołokciowej odległości patrzeć można. Nadto przysunięto ją do ściany zbyt blisko, i trzy jej strony są prawie niedostępne dla widza. A przecież to arcydzieło, arcydzieło, u nas jedyne i z nami nie na długo. Obszerniejsze pomieszczenie, widok dookoła, a jeśli tak nie można, to przy obszerniej-

szem pomieszczeniu, podstawę obracać się dającą, oto życzenie nasze, przez wzgląd na Kanowę i na pożytek uczącej się młodzieży.

T. Szpadkowski.

WIOSENNA ROZMOWA.

ONA.

Czemu smutny jesteś, mój kochanku?
Czemuś smutny w tym narcyssów wianku,
Kiedy luba twoja tak szczęśliwa?
Łza bolesna na twój rżęsie siada,
Serce twoje głuchem biciem gada,
A słów twoich wątek się urywa.

ON.

Możem smutny że wiosna przemienie,
Że przekwitną wonne róż świątynie
I narcyssów biały liść opadnie;
Możem smutny że bżowe kaskady
Już nie spłyną mi ku twarzy bladój,
A z narcysem i bżami tak ładnie.

ONA.

O nie, o nie! Nie ztąd twoje smutki:
Będą lilje, będą niezabudki,
Miast narcyssa, goździk purpurowy;
A gdy zwiedną różowe altany,
To omamień kwiat pęknie kochany,
Jasmin wonią otoczy nam głowy.

ON.

A gdy przyjdzie chłodny wiatr jesieni,
Gdy liść drzewa się zżółci, zrumieni
Suchotnicy ostatnim rumieńcem,
Gdy mgły zwisną przed słońca żrenicą,
A ty będziesz bolesną dziewicą,
A ja będę bez marzeń młodzieńcem?

ONA.

Wtedy będziem siedzieć w cichej chacie,
I ustawiać sobie grą przy gracie,
I z ogrodu znosić plon obfity:
Wonne jabłka i słodziutkie grusze,
I w sen huścić będą mężką duszę
Kochające ramiona kobiety.

ON.

A gdy zima na pola przypadnie
I świat młody tchem swym zwarzy zdradnie,
Że i widać nie będzie ogrodu;
Gdy śnieg kwiaty zmrozi i popruszy,
Gdy już nigdy nie wróci do duszy
Ptak ów rajski, co w niej lśniał za młodu?

ONA.

To wieczorem — zimowym wieczorem,
O tych czasach długim rozhoworem
Zawiedziemy przy ciepłym kominie;
I będziemy szczęśliwi nadzieją,
Że nam wiatry nic już nie rozwieją,
Że nam więcej nic już nie przemienie.

J. Szujski.

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Z Ukrainy, we wrześniu 1860 r.

Szarańcza przyszła do nas ze Wschodu w r. 1858. Pisano mi w końcu lata z Ekaterynodar (ziemi czarnomorskich Kozaków), iż szła tak grubą ławą, że zaćmiła słońce, a nad miastem jak dym pożaru widną była. Konie zaledwie brodzić mogły, bo była im pod brzuch. Przeleciała Krym, gdzie z powodu wojny długo popasać nie mogła; pod koniec jesieni oparła się aż o kaniowski powiat, pod miastem Bohusławiem. Okolice te więcej są zaludnione, więc ławę jej niewielką wygubiono do reszty. Ale ta która zapadła w chersońskiej gubernii, już dla braku rąk, już też z niedbalstwa rozmnożyła się, i od tego czasu corocznie tu i owdzie przerzucała się, z różnym niszczoną szczęściem. Roku zeszłego zakopała się znów w chersońskich stepach i na Pobereżu. Czyli to oswojenie się niejako z jej widokiem, czyli wreszcie niedbalstwo sprawiło, że nawet wiosną nic nie przedsiębrano dla wyniszczenia młodego pokolenia. Zaskłyszeliśmy o niej dopiero kiedy wzniosła się w powietrze i zaczęła w miarę swojego wzrostu niszczyć okolice. Dziś przebiegła kraj ten cały od morza aż do wysokości Białejcerkwi, a ława jej rozciąga się w naszej stronie od Dniepru aż ku Żytomierzowi, na przestrzeni około 300 werst; podobnież w podolskiej gubernii, a zapewne i ta co się na Węgrzech pokazała, z naszej również pochodzi strony. Kto nie widział, nie ma wyobrażenia co to jest szarańcza. Jeżeli

przeciąga, idzie jak chmura, po kilka godzin zaciemniając widok słońca; jeżeli zapadnie, to na kilka a nawet kilkanaście cali pokrywa ziemię, i czego nie zje, wylamie, wytłoczy. U nas przyszła po głównych żniwach, nadpsuła trochę oziminy niezebraną lub niezwiezioną w kopach, ale proso, owies, jęczmień niszczy do szczytu. Kapusty, buraków, konopi i kwitnącej tataraki nie psuje; suchą tatarakę jej widać żelazce więcej wodniste jej nie smakuje. Oczerety, trawy zjada do gruntu, tak iż dziś już woły musimy sianem karmić.

Od 1 sierpnia zaczęła się parować. W tym celu zalega pola szeroko, ale rzadziej, i po kilka dni na jednym przebywa miejscu. Sparowane nie wlatują i tylko przeskakują z miejsca na miejsce; luźne zaś nad takim polem unoszą się, formując chmurę, jak kiedy śnieg zimną wielkimi pada płatami. Gdy idzie nisko, o kilka kroków zakrywa przedmioty, a szum ciągnącej podobny jest do szumu wodospadów dalekich.

Z noclegu, jeżeli dzień pogodny, ciepły, zrywa się około 9 z rana, a siada znów około 3 po południu. Sposobów niszczenia jej na razie znaleźć trudno. Pojedynczo można krzykiem, strzeleniem, biciem w dzwony i metalowe naczynia odstraszyć z miejsca jednego, aby na drugie obok do sąsiada wpuścić. Możeby walcami część jej zgniotła się, ale trzeba je mieć i trzeba nadto aby rola równą jak stół była. Wreszcie widok ten robi wrażenie którego opisać niepodobna: mimowolnie ręce opadają, żal serce ściska, oko się łzami napęcza, a w duszy powstaje zwątpienie.

I hardy też lud ukraiński płacze i czuje że nad tą ziemią cięży palec Boski. Od roku 1848, jak tu przybyłem, klęska po klęsce. Cholera po dwakroć, coroczna epidemia na bydło i skorbut epidemiczny. W r. 1856, wśród najpiękniejszej wiosny, nasza zawierucha zimowa i mrozy silne, które całą wymroziły oziminę, tak iż nasienia nawet nie zebrano; chrząszczyki napadły na zboże i buraki, gąsienice na te ostatnie. W roku 1858 w lecie, zaraz po okwitnięciu pszenicy, jakiś wiatr zaraźliwy pokrył rdzą i ziarno i słomę, że się nawet i na paszę dla bydła nie zdały. Ciągłe posuchy wyniszczyły i ludność i zamożność kraju.

Wyobraźcie sobie przeto radość narodu, kiedy obecnego lata zakwitło wszystko z dawna niesłychanym urodzajem, a tu, jak gdyby kto pozazdrościł, czy Bóg się rozgniewał, szarańcza! Dziś, w tej chwili, ona już nie tak straszna, choć aż do późnej jesieni tłuc się będzie; ale posiewy ozime niszczy, choć utrzymują że one znów żdźbło wypuszczą. Najstraszniejszym

jest to, że wszędzie zakopuje się, i na wiosnę, kiedy należy spieszyć się z sieją, całą siłę roboczną trzeba będzie użyć na gubienie młodej wylęgłej. Bo biada, gdyby teraz dopuszczono jej wylądź się bezkarnie.

Wylęgając się równocześnie ze wschodem zbóż ozimych i jarych, niszczy takowe bezpowrotnie. Wio-

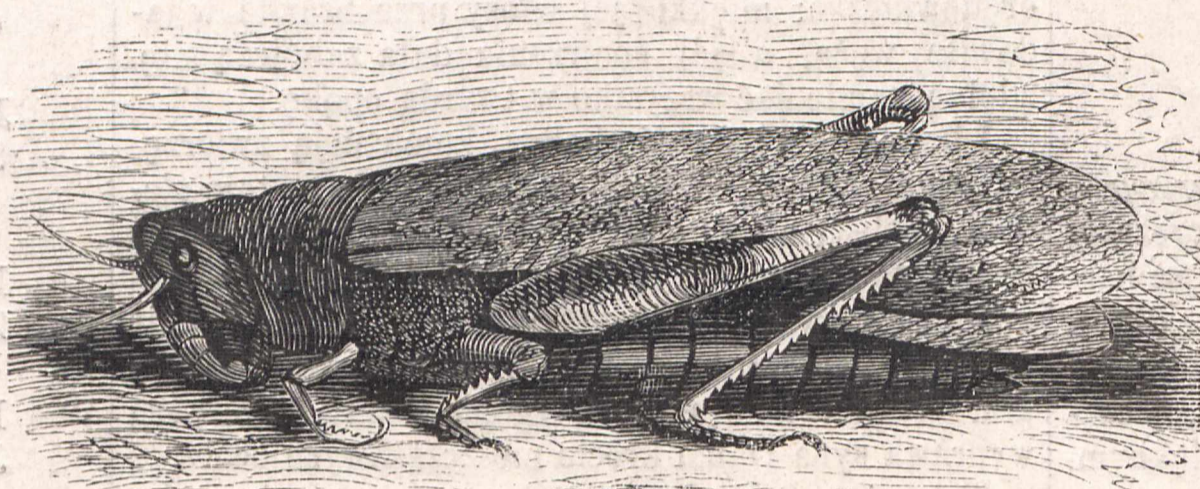
chodowy z wierzchu, u samicy otwór ten w przedłużeniu tułowa się znajduje. Podczas parowania się samiec obejmuje owym tułowem samice przez skrzydła z wierzchu i spiralnie podkłada pod nią swój tułów; dlatego sparowane latać nie mogą (jak inne owady, u których skrzydła samicy są wolne) lecz tylko przeskakują z miejsca na miejsce. Życie szarańczy jest silne;

kilka dni żyje bez pożywienia, nawet zamknięta w pudełku. Bardzo wiele znajduje się bez nóg, są one albowiem bardzo kruche i łatwo się w stawach obłamują, co może powodować nagromadzanie się onej w warstwach grubych, na zbożu zwłaszcza. Widzieliśmy także iż samiec rzuca się na połączoną parę i rywala gryzie, a szczęki mają mocne, kiedy słychać jak gryzą zboże. Nalane spirytusem giną w przeciągu minuty, spirytus farbując się brązowo, a one same przybierają z wierzchu kolor różowy. Spieczone w ogniu, stają się podobne z koloru do raka ugotowanego. Tułów zdaje się składać z dwóch połów twardszych, połączonych horyzontalnie miękkimi jakby łądkami, na których wyraźnie, u zmęczonych długim lotem lub zamknięciem w naczyniu ciasnym, widać jakby oddychanie, bo dwie te połowy ściągają się i rozchodzą.

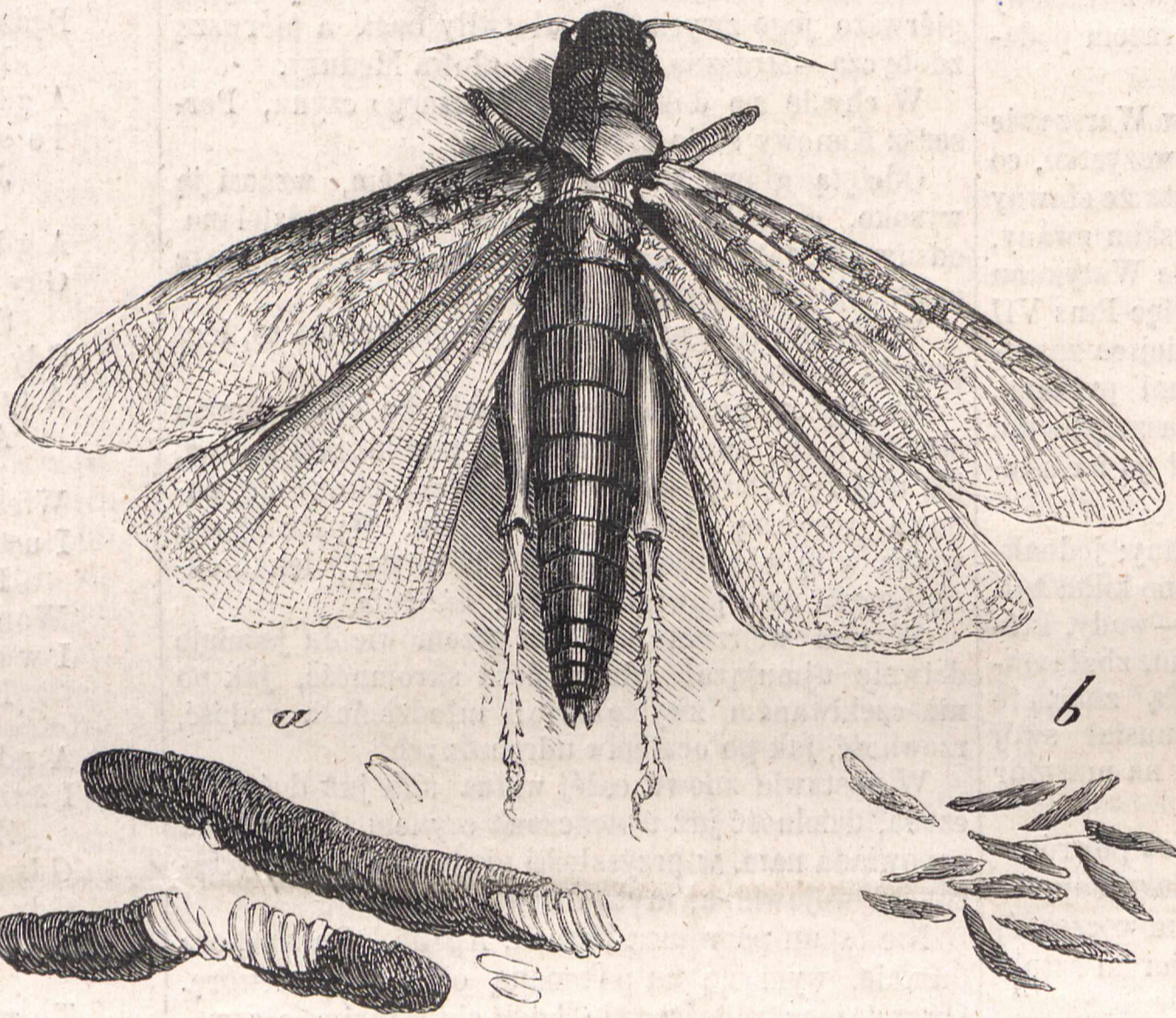
Ptastwo z pola na którym ona krąży ucieka, kiedy zaś odleci, kruki, wrony i kawki czatują na maruderów i chwytają je; świnie pożerają je chciwie, psy także, choć już nie tak łakomie. Przekłute szpilką lub przy oderwaniu nogi, wydzielają płyn pomarańczowo-żółty. Odchody ich (fig. b) są czystym włóknem roślinnym i dlatego sądziłbym że nie są dobrym pognojem. Wiele dni po parowaniu się samica potrzebuje dla zniesienia jaj, nie wiem, czytałem dawniej, i takie tu panuje przekonanie, że samica wkłada tułów swój w ziemię aż po piersi i odłamuje się, co jest fałszem. Zdaje się że ona robi tułowem dziurkę w ziemi, wylepia ją szarą żółtą masą, celem zabezpieczenia jaj od wilgoci i znosi je następnie, układając rzędem po 4 (fig. a). Dalej zalepia ten pęcherzyk i przykrywa ziemią, a że w pęcherzyku nie więcej nad 40

do 70 jaj się znajduje, a szarańcza podobno znosi ich do kilkuset, oczywiście więc musi po kilkakroć parować się i jaja znosić. Lud twierdzi że na skrzydłach jej ma być napis arabski „Kara Boska“, wszakże niczego podobnego na żadnej dostrzedz nie można (*).

(*). Zajmującą tę wiadomość o przedmiocie tyle obecnie ogół obchodzącym, udzieloną nam przez łaskawego korespondenta z Ukrainy, wraz z okazami szarańczy, jej jajek i odchodów, z których załączone drzeworyty zostały przerysowane, uzupełnimy wkrótce artykułem naukowym o tworzeniu się, przemianach i sposobie życia tych owadów. (Przyp. red.)



SZARAŃCZA WĘDROWNA (Gryllus migratorius). Rys. z natury.



TAŻ SZARAŃCZA Z ROZPIĘTAMI SKRZYDŁAMI.

sną wygubianie jej łatwiejsze. Wylęgająca nie lata a tylko skacze; napędza się więc do kopanych w tym celu rowów, z których nie może wyskoczyć, i tam gniecie się, pali słomą i przykrywa ziemią. Jeżeli jesienią zapadnie w lesie, zima jej nie szkodzi; na polach gdzie znosi jaja, trzeba drobno orać, radlić, słowem rozkruszać ziemię, dla wyrzucenia na wierzch pęcherzyków, które przepadzia zima i mrozy niszczą.

O ile mogłem się przypatrzeć, samiec jest żółtawy, samica zielonawo-szara; samca tułów ma otwór od-

Zadanie wieżowe do nagrody.

skład;	li-	ra,	bę-	te-	te-	niech	dzie
to	dzi-	wszyst-	to	wda	chwat.	ko	wne
li-	szós-	su-	cie	szy,	te	trze-	te-
dnąę	czwar-	li-	ly	zga-	wcho-	ra,	gie
na	ca.	je,	li-	kto	da-	te-	pra-
w mój	ra.	te-	szcze-	praw-	dzą	ra,	ra,
cięż-	te	wę	ka	ra,	li-	gło-	dru-
te	wsze	pią-	wio-	ca.	piér-	wra-	ży-

Trzy pierwsze rozwiązania z Warszawy i trzy pierwsze z prowincyi, otrzymają jako nagrodę książek nakładowych wydawcy Tygodnika, w wartości rsr. 5, 4 i 3. Nadmieniam, że szarada ukryta w szachownicy i mająca się złożyć za pomocą poruszeń wieży, składa się z dziesięciu wierszy, które powinny być w porządku właściwym bez błędów wypisane, wraz ze znaczeniem szarady. Takim tylko rozwiązaniom nagroda może być przysądzona. Rozwiązań niefrankowanych redakcyja nie przyjmuje.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 38.

- | | |
|-----------------------|---------------------|
| <i>Białe.</i> | <i>Czarne.</i> |
| 1) H 3 — F 5 † . . . | 1) E 6 — F 5 biorą. |
| 2) F 8 — E 8 † . . . | 2) E 5 — D 5. |
| 3) A 6 — C 4 † . . . | 3) B 4 — C 4 biorą. |
| 4) E 4 — F 6 † i mat. | |

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 52.
Ludzie gonią za tysiącami, a po śmierci dostają cztery deski i garść ziemi.

REBUS.

